WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK III WIELKOPOLSKA STYCZEŃ 1933 NR. 1 (16)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

ALFONS SZYPERSKI:

GEOGRAFJA TALENTÓW WIELKOPOLSKICH

1. ŚREDNIOWIECZE.

Jak się przedstawia prężność kultury polskiej na ziemiach wielkopolskich w świetle nazwisk wybitnych i wybitniejszych ludzi geograficznie czyli topograficznie pojęta? Nie pytamy dla próżności ani pychy, ani też dla żadnego ubóstwa, pytamy, bo jak zobaczymy, głębsze, ciekawsze wnioski można z pytania wysnuwać. Nie mamy na myśli całej kultury, ale tylko jeden jej dział: humanistykę, szeroko pojętą. Wyniki tedy nie będą ścisłe, niemniej jednak wiadomo, że nauki i sztuki, albo zrozumialej umiejętności czasem też zdolności humanistyczne są prawie że najwidoczniejszemi, najważniejszemi słupami kulturalnemi. Z niemi w parze idą już często zjawiska pokrewne: sztuki piękne i inne przejawy twórczego ducha ludzkiego.

Nie będziemy się też zapuszczać zbyt głęboko i drobiazgowo w historję Wielkopolski, dobywając stąd najważniejsze jeno nazwiska. Co znaczy najważniejsze? Takie, co kiedyś były głośne, co miały swoje znaczenie. Sława niektórych zgasła, innych tylko przygasła, jeszcze inne nic lub mało straciły na aktualności. Mówimy oczywiście jeno o takich, co publikowali swe dzieła lub zostawili je w rękopisach, dali się wszakże poznać z swej działalności. Uwzględnimy pisarzy i poetów, statystów i publicystów, przedstawicieli nauki, sztuki, (jeśli także teoretycznie problemami piękna się zajmowali), pamiętnikarzy, działaczy na polu oświaty i szkolnictwa, kaznodziejów, polemistów i t. d. — tj. przedstawicieli kultury wogóle.



Drzeworyt oryginalny S. Zgaiński

Co do terytorjum — mamy na uwadze Poznańskie z Kujawami i ziemię Kaliską. Nie myślimy więc o Wielkopolsce w najszerszem tego słowa znaczeniu tj. pomijamy Łęczyckie, Sieradzkie i Wieluńskie. Ziemia Sieradzka, nadzwyczaj bujna i obficie rodząca talenty, zbyt wydłużyłaby nasz krótki, inform. raczej przegląd.

Kultura polska zaczęła przybierać własne kontury w kilka wieków po przyjęciu chrześcijaństwa. Centrum cywilizacyjnem od

z Poznania (przełom wieków XIV. i XV.), kaznodziejstwo zakonnik *Piotr z Miłosławia* (w. XV.), literaturę polityczną XIV wieku staje się Kraków. Sławny uniwersytet nietylko przyciąga uczniów z całej Polski i krajów bliższych a nawet dalszych, ale wydaje też wybitnych uczonych. Posiada, rzecz prosta, na swych katedrach profesorów na miarę europejską. Czy Wielkopolska zasilała grono profesorskie akademji krakowskiej?

Już w kilka lat po reorganizacji uniwersytetu po śmierci Jadwigi widzimy w Krakowie profesora teologji *Andrzeja z Kokorzyna* (pod Kościanem), trzykrotnego rektora akademji (w latach 1408, 1426, 1429), posła na sobór w Konstancji, kanclerza królowej Zofji. Zmarł nasz uczony około r. 1435. Oto pomyślna wróżba, pierwsza chluba ziemi kościańskiej, która tak pięknie zapisze się w dziejach kultury polskiej ostatniej doby. Ks. dr. Andrzej z Kokorzyna pochodził z rodziny ziemiańskiej.

Poetą łacińskim o pokroju wyraźnie już humanistycznym jest *Marcin z Słupcy*, profesor akademji krak., ur. ok. r. 1417. Tragiczną śmiercią zeszedł ze świata w r. 1519 *Jan z Szamotuł*, zwany Paterkiem, pochodzenia mieszczańskiego. Paterek prócz wykładów w uniwersytecie trudnił się pisaniem kazań. W Wielkopolsce, prawdopodobnie w Paradyżu (koło Międzyrzecza), sławnym z klasztoru cystersów ur. się ok. 1380 r. w rodzinie chłopskiej *Jakòb z Paradyża*, głośny profesor teologji, zmarły 1464 r. w Niemczech. Mistrz paradyski, bardzo czynny w okresie soboru bazylejskiego, był nauczycielem św. Jana Kantego. Ludzisk inowrocławski wydał w XV. wieku znakomitego mówcę, zwiastuna humanizmu *Jana z Ludziska*, w 1440 r. profesora retoryki — Brudzewo matematyka i astronoma, nauczyciela Kopernika *Wojciecha z Brudzewa*, ur. 1446 r.

Z ruchem husyckim w Polsce wiąże się nazwisko głośnego kiedyś *Jędrzeja Gałki z Dobczyna*, poety, usuniętego z katedry krakowskiej przez Zbigniewa Oleśnickiego za głoszenie nauki Wiklefa. Gałka z Dobczyna to pierwszy u nas reformator religijny, na którego spadły kary za zarzuty kacerstwa. Urodził się ok. 1405 r., kiedy zmarł, niewiadomo. Jeśli istotnie Gałka pochodził z Wielkopolski, to będzie to chyba Dobczyn, dawniej Dobszyn pod Dolskiem, pow. śremski.

Oto średniowieczne grono profesorskie akademji krakowskiej pochodzenia wielkopolskiego. Jeden ziemianin, reszta — zdaje się — mieszczanie i chłopi.

Tak zwaną średniowieczną literaturę kancelaryjną reprezentuje *Marcin z Międzyrzecza*, poezję łacińską *Mikołaj* sławny *Jan Ostroróg**) ur. ok. 1436 r., zmarły w r. 1501 jako wojewoda poznański. Ostroróg, autor głośnego „Monumentum", to pierwszy w Polsce reformator społeczno - polityczny, pierwszy Polak z odwagą cywilną w czasie supremacji powag.

Widzimy, że dobrze zapowiadało się średniowieczne mieszczaństwo, później tak niedocenione i postawione za nawias sfery rządzącej lub tylko na rządy wpływającej. Synowie mieszczańscy chętniej garnęli się do nauki niż potomkowie rodzin ziemiańsko-szlacheckich Tak zresztą i dziś. Kultura mieszczańska, w Niemczech i Włoszech świetnie się później rozwijająca, zaczęła u nas wyraźnie kiełkować, lecz została już w XVI. wieku na długie czasy stłumiona przewagą wpływów ziemiańskich, tak na polu kulturalno-społecznem jak ekonomiczno-politycznem. Dźwignie się mieszczaństwo nasze dopiero w wieku XIX., kiedy nastąpi dość nagły zmierzch szlachetczyzny.

2. WIEK XVI.

W wieku tym rozgorzała wielka polemika religijna między innowiercami a obozem katolickim. Po jednej i drugiej stronie widzimy znakomitych teologów - polemistów. Literatura rośnie, oświata się podnosi. Tworzą się ośrodki ruchu reformacyjnego. W Lesznie i w Poznaniu zakładają swój bastjon kalwini, w Bojanowie i Grodzisku wre ruch luterski. Ale i Kujawy i ziema Kaliska staje się terenem agitacyj i reform religijnych. Ruch kalwiński nosił pewne piętno ruchu narodowego, gdy luteranie zdradzali tendencje germanofilskie, to też opiekowało się nimi państwo sąsiednie. Przewódcą kalwinów kujawskich jest pełen temperamentu historyk *Świętosław Orzelski* z Bożejewic pod Inowrocławiem (stamtąd pochodził ród Orzelskich, on sam miał się urodzić r. 1545 w zamku Orle), ze Skargą walczy słynny polemista kalwiński, statysta i dyplomata *Andrzej Wolan*, ur. około 1530 r., zmarł 1610. Pisał przeważnie po łacinie. Z pod Kalisza pochodzi świetny stylista *Piotr Mycielski*, z jezuitami i arjanami polemizuje *Jakób Niemojewski*, ur. ok. 1532 r., zmarł 1584 — obaj gorliwi kalwini. Także arjanie mieli swoich pisarzy. Dość wymienić kaznodziejów śmigielskich *Lubienieckiego* i rzeczowego, uczonego *Smalciusa*. Polemistą arjańskim był *Jan Niemojewski* z Kujaw, ur. ok. 1530 r., zmarł 1598, a pedagogiem *Wojciech z Kalisza* (zm. ok. 1601 roku). Do obozu arjańskiego należy jeszcze z włościan pochodzący *Marcin Czechowicz*, zmarł 1613 r., urodzony prawdopodobnie w Zbąszyniu. Najzdolniejszym przedstawicielem obozu luterskiego był *Erazm Gliczner*. Z reszty pisarzy innowierczych wymienić trzeba głośnego *Jana Seklucjana*, który później działał w Królewcu, dalej *Piotra Artomiusa*, nauczyciela domowego Ostrorogów, ur. 1552 r. w Grodzisku, zm. 1609 r., oraz *Jana Turowskiego* z Kujaw (1568—1629). Historykiem innowierstwa w Polsce był *Jan Łasicki*, ur. 1534 r. (według niektórych Małopolanin).

Przejdźmy teraz do obozu katolickiego. Miano pogromcy arjan zyskał kaznodzieja *Hieronim Powodowski* z Gniezna (1547—1613). Cdn.

*) ożeniony z Dorotą Wrzesińską.

Dr. JAN PIECHOCKI:

BYDGOSZCZ W PIEŚNI

Zastrzegam się, że nie chodzi tu o historyczno-literacką rozprawę na temat autorów i motywów bydgoskich. Tę troskę pozostawiamy pracowitym uczonym jakiejś przyszłej „Kroniki miasta Bydgoszczy" wzgl. poszukiwaczom tez doktorskich. Na razie pragnie jeden z mieszkańców miasta, które ma dużo wody, dużo zieleni, nieco ładnych zabytków, moc bezrobotnych i kiepskie tramwaje, podzielić się kilkoma uwagami na marginesie dwóch zbiorków wierszy i jednego poematu o nadbrdziańskim grodzie.

Przeczytałem możliwie sumiennie *Gabrjela Hennera „Starą Bydgoszcz w pieśni"* (wyd. w roku 1924), *Stanisława Helsztyńskiego „Wenecję nad Brdą"* (wyd. w r. 1932), oraz *Marjana Turwida* wiersz pod tytułem *„List z Bydgoszczy"* (w zbiorku „Dni Wielkiej Doliny" — (wyd. w roku 1932). Przeczytałem i zastanawiałem się, jaki miernik estetyczny przyłożyć do tych rzeczy. Poezja wogóle czy poezja regjonalna? Inaczej mówiąc: czyby chciało się tego Hennera czy też tego Helsztyńskiego czytać do końca, gdyby to nie było akurat o Bydgoszczy? Cobym też odczuwał, gdybym żył od 4 lat np. nie w Bydgoszczy, lecz w Poznaniu lub choćby Krotoszynie, i trafem dostał do rąk te wiersze?

Oczywista, dla niektórych regjonalne wiersze, to znaczy wiersze treścią związane z regjonem, mają już pełną wartość emocjonalną przez sam temat. Starczy, że wspominają znane fakty historyczne, wymieniają ulice, opisują pomniki ukochanego miasta. Może się nawet zdarzyć, że czytelnik włoży od siebie w taki regjonalny poemacik dużo ze swego uczucia, może nawet za dużo. Wtedy

wierszydło będzie się wydawało tworem piękna. Jeśli chodzi o propagandę krajoznawczą (wśród umysłów mało wrażliwych na piękno) lub o budzenie patrjotyzmu lokalnego, mogą nawet artystycznie słabe wiersze o podłożu regjonalnem spełnić swój cel. Ze sztuką mają jednak mało względnie nawet nic wspólnego. Trzeba sobie bowiem uświadomić starą jak sztuka prawdę, że temat to tylko okazja do projekcji wzruszeń artystycznych. Od siły tego wzruszenia i od formy jego ujęcia zależy artystyczny walor poematu, obrazu czy rzeźby. Nie w temacie samym mieści się poezja (choć są tematy mniej lub więcej poetyckie), lecz przez poetyckie na rzeczy spojrzenie i przez siłę twórczego wzruszenia równowartościową formę temat zostaje podniesiony do wyżyn sztuki. Innemi słowy: to, co ma być naprawdę poezją regjonalną, musi należeć do dwóch regjonów — regjonu lokalnego i do tego „regjonu", który jest wszędzie i nigdzie, do krainy Muzy.

Czy poematy omawiane mają ten biregjonalny (że sobie pozwolę na utworzenie takiego terminu) charakter? Czy są regjonalne i ponadregjonalne jednocześnie? Czy czyta się je jak n. p. „Białoruś" Podkorskiego-Okodowa, jak „Pana Tadeusza", jak „Dumki" Zaleskiego, jak wiersze tatrzańskie Tetmajera?

Gabryel Tadeusz Henner w pięknie wydanym zbiorku (duży format, złotoczerwone inicjały, złota ramka na każdej stronnicy) z widocznem przejęciem opowiada potoczystemi rymami o przeszłości Bydgoszczy. W pięknej „Inwokacji" grzeszny klerk kaja się przed Bogarodzicą, a potem przesuwają się niby na wystawie prymitywów a raczej prymityzowanych obrazów średniowiecznych Władysław Biały, Jan z Brzozogłów, Stanisław Bydgosta, Paweł z Łęczycy, Mistrz Twardowski, Klemens Janicki (ile że ostatniemu „urzekła serce jedna z bydgoskich dziew"). Nie wiem, w jakiej proporcji mieści się w tych „śpiewach historycznych" Dichtung und Wahrheit. W każdym razie może te 27 stronnic wierszy pobudzić do zadumy nad przeszłością. W ton dawności utrafił autor nieźle, unikając zbytniego archaizowania i pretensjonalnej „podniosłości" stylu. Nie można się jednak oprzeć przy lekturze uczuciu pewnej monotonji. Gdzie chodzi o liryzm, o zabarwione religijnie przeżycie na lekko podmalowanem lokalnem i historycznem tle (n. p. wspomniana „Inwokacja"), tam odnoszę pełne estetyczne zadowolenie. Postaci historyczne natomiast, zdarzenia, legendy rozpływają się, nie mają cech i rysów indywidualnych, mimo, że czytamy coraz to inne nazwy i nazwiska. Chociaż występują ludzie różnych wieków, znajdują się jakby na tej samej płaszczyźnie. Zresztą nie przeczę, iż jest w tem pewien urok, a jeśli autor świadomie do tego efektu dążył, może być ze swego zbiorku zadowolony.

Stanisław Helsztyński w dytyrambach „Wenecja nad Brdą" dał przeszłość i teraźniejszość, opiewa wykopaliska w Muzeum Miejskiem, pomnik Sienkiewicza, bój pod Koronowem i nieznanego powstańca. Słowem — silva rerum pracowitego regjonalnego poety wielkopolskiego. Nie mam pretensyj do autora o tematy. Stłuczona urna może być źródłem wzruszeń równie silnych jak pożar Rzymu lub śmierć wielkiego człowieka. Jednakowoż pod jednym warunkiem: wzruszenie musimy czuć, na równi z autorem przeżywać.

Niektóre wiersze Helsztyńskiego wiodą nas istotnie z regjonu bydgoskiego do regjonów Piękna. Taka „Łuczniczka" naprzykład. Ten posąg nagiej dziewoi, napinającej łuk, to źródło idjotycznych oburzeń purytanów i dewotek, oglądamy oczyma zachwyconego poety, który, przeciwstawiając smukłą, niedostępną szałom łuczniczkę azjatyckiej Kybele i Afrodycie, biodrem drażniącej zmysły, w wspaniałym, pełnym ruchu obrazie taką kreśli wizję:

„Nadejścia czekam nocy, konie mam
 za bramą —
gdy zgiełk ustanie, w mroku przyjadę
 tu Djano!
Hej, okrzyk twój na widok rżącego
 rumaka!
skok w siodło prędki, jazda naprzód
 lotem ptaka!
hej, pościg po dolinach, polach,
 lasach, wzgórzach,
hej, rozpęd, radość, w biegu, w ruchu,
 w wichru burzach!

Niezawsze, niestety, u Helsztyńskiego słowo jest skrzepniętem uczuciem. Czasami mamy barokowe pomysły (np. wtedy gdy poeta przed gablotką w muzeum woła: „W Tuthankamenam grobie?"). Miejscami czuć borykanie się z wierszem, czuć, że poeta mówi, nie tworzy. Przecież wszystko ma mieć formę sonetu. Trzeba napisać 14 wierszy o rzeczy, gdzie starczyłby czterowiersz. (To rozmyślne stawianie sobie trudności świadczy o ambicjach poety). Trudno mi do poezji zaliczyć takie wiersze:

(wiersz „Młodzież bydgoska".)

My odrodzimy kraj ten. Nam się
 w źródłach kąpać,
nam po słowiańskich przyszło
 asfodelach stąpać,
nidza, jak słońce, światłem nas
 oblewa wokół.
Od Gdyni, od Tucholi, Świecia.
 Gniewa, Chełmna
przybiegliśmy do Aten nad Brdą,
 brać promienna,
na nidzy polskiej każdy z nas
 wstępuje cokół.

Dlaczego młodzież bydgoska ma stąpać po „słowiańskich asfodelach"? „Ateny nad Brdą" to stanowczo zbyt pochlebny dla Bydgoszczy komplement. (Efekt wbrew zamiarom autora wręcz humorystyczny). A ten „nidzy polskiej cokół" to już wyraźnie frazes. Takich analiz możnaby przeprowadzić jeszcze więcej. Nie chcemy się pastwić nad utalentowanym poetą, który chwilami zapomniał o maksymie, że „sztuka polega na opuszczaniu". Żeby nie było nieporozumień: „Łuczniczka" dowodzi, że autora stać na rzeczy naprawdę piękne, na obrazy, które mogą wzruszyć, zachwycić i poetycznie nastroić nawet tego, kto nigdy w Bydgoszczy nie był. Oby tylko Helsztyński nie popadł w manjerę autorów rymowanych przewodników! Okładkę „Wenecja nad Brdą" zdobi piękna winjeta Marjana Turwida. *Turwid* jest również autorem wiersza, którego w naszym artykule nie mogę pominąć. *„List z Bydgoszczy"* — to szereg śmiałych, wrażliwem okiem malarskiem oglądanych obrazów, wrażających się w pamięć siłą artystycznej sugestji:

Ulica biegnąc spadła z mostu
 do kanału — —
Prysła tafla zwierciadła i srebrzy się
 w szczątkach,
prąd je porwał i niesie zielony
 z zapału,
tańczący na zakolach, szumiący
 w zakątkach.
I rośnie niewstrzymanym podniecany
 biegiem
i zieloną przemocą rwie brzeg
 i przeszkody — —
zbielały z przerażenia spichlerze
 nad brzegiem
i przysiadły z przestrachu
 nadrzeczne ogrody...

Ta kilkudziesięciowierszowa historja prądu, co „siniał i pienił się w pętach", aby ścichnąć i zmarnieć „w okowach" — to więcej niż bydgoski obrazek: to artystyczne przeżycie. Element lokalny w atmosferze poetyckiego natchnienia przerodził się w twór nadlokalnego piękna. Z regjonu bydgoskiego wstąpiliśmy do regjonów sztuki; regjonalne stało się nadregjonalnem. Oto jest całe misterjum Turwidowego artyzmu*). Zdaje mi się, że tą drogą iść muszą wszyscy poeci regjonalni, dla których sam temat jest tylko okazją prawdziwie artystycznego wypowiedzenia się, ekranem, na który rzutować pragną obrazy swych przeżyć i wzruszeń. Innej drogi nie widzę, jeśli się pragnie służbę regjonu połączyć ze służbą sztuce.

*) Zbiór wierszy Marjana Turwida pod tyt. Dni Wielkiej Doliny zostanie omówiony w osobnym artykule.

BARBARA MARCINKOWSKA:

ZAPOMNIANY ŚWIĘTY

Wtulony w tkań koronek szarej przędzy pajęczej,
W zaciasnym kącie kościoła stoi nieznany Święty.
Oczy ma krzywe: jedno na południe, a drugie na północ,
usta mocno zacięte od niewyznanego bólu.

Pod stopy jego — przez robaka stoczone —
nie garnie się żaden człowiek miłością wzruszony.

Do rąk jego — z palcami połamanemi —
nie przypada nikt pełen nadziei.

Stoi Święty
w pajęczynę i w półmrok wciśnięty
i marzy: przyjdzie dzień inny, nowy,
zapełni się kościół — ciemne, jasne głowy —
jasne, ciemne oczy — ręce grube i miękkie
wyciągną się ku niemu z prośbami, lub w podzięce.
Będą łzy w oczach błyszczeć — serca walić ufnością,
a on wszystkich obdarzy niewyczerpaną miłością.
— — — — — — — — — — — — — —
Stoi Święty i marzy: księżyc mu habit całuje,
pająk usiadł na ustach (— nic tego nie czuje —)
mysz przebiegła przez dłonie, robak mu nogi toczy...
— — — — — — — — — — — — — —
stoi Święty i łez ma pełne oczy...

STANISŁAW CZERNIK:

O POLSKIM PŁOCIE

Najpospolitszy polski płot
Bardziej mi się podoba od wytwornie niemieckich.

Poczynam sobie od wrót
Słupkami przez drążki i klocki
Aż do zetknięcia się chałup.
Śpiewam go sobie i gram
Bardzo z wiejska i pomału,
A on mi rośnie, jak sens norwidowski,
Choć jest podobno ordynus i cham, —
A on się pręży, jak jasny Wyspiański,
I — jakiż bezsens! — pachnie mi Szopenem.

W tych naiwnych konstrukcjach,
jak wiersze w dzieciństwie —
Niezgrabność: drąg przy drągu, przy patyku patyk —
Widzę bardzo pierwotne, prawie barbarzyńskie
Słowiańskiemi runami tkane poematy.

Wiersz tytułowy wyjęty z tomu poezyj Stanisława Czernika tłoczonego obecnie w Oficynie Andrzeja Prądzyńskiego.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

WIZYTA W KOŚCIANKACH R. 1917

Gdy w ostatnich dniach lipca 1914 osłupiająca wieść o wybuchu wojny nam kilkudziesięciu wychowankom Księży Misjonarzy, bawiącym w uroczej willegjaturze krzeszowickiej, przerwała wakacje, gdy pośpiesznymi pociągami wracaliśmy do Krakowa, a stamtąd na Śląsk i w Poznańskie, skąd większość nas pochodziła, nie przypuszczałem, że jest to pchnięcie wiosłem, które moją łódź życiową będzie rzucać przez lat 6 po dalekich falach burzliwego świata. A jednak był to istotny początek pełnej przygód odysei po Niemczech, Francji i wszystkich zaborach Polski, w czasie której nigdy nie było mi danem zasiedzieć dłużej miejsca lub nawet pomyśleć o czemś ustalonem. Dobrą stroną tego niespokojnego okresu było zawieranie znajomości z ludźmi, poznawanie świata, chłonięcie go oczami, które dotąd aż nazbyt metafizycznie odnosiły się do spraw życia, przerzucone studjami krakowskiemi w przeszłość, romantyzm, filozofję i teologję biblijną. Parę dni, które ruchliwa fala ówczesna pozwoliła mi spędzić w jasnej zatoce wrzesińskich Kościanek, należą do najmilszych wytchnień tego czasu burzy i naporu.

Jakże do tego przyszło? Skąd Kościanki w życiu studenta-żołnierza, właśnie w r. 1917 odkomenderowanego na front zachodni? Skądże właśnie wtedy możność oglądania Wrześni, chodzenia w zadumie przed historycznym gmachem jej szkoły i marsz do samotnej wioski na wschód od miasta bohaterskich dzieci?

Literatura w to wdała się. Już na Stradomiu grube foljały bruljonów pęczniały poezjami memi, które raz po raz przeglądał Antoni Mazanowski, szanowny mój profesor i mentor literacki. W Monachjum, dokąd udało mi się przyjechać na parę miesięcy studjów neofilologicznych, przerywanych częstemi wyjazdami i meldowaniem się w innych miastach celem uniknięcia szybkiego poboru, zapukałem ze zbiorem utworów, dziś już wydanych w większości w cyklu „Nad Wartą, Notecią i Obrą", do Stanisława Przybyszewskiego na Ruffinistr. 12. Tam byłem świadkiem właściwych narodzin „Zdroju", asystowałem długim debatom miłych gospodarzy nad nazwą i kierunkiem czasopisma, które miało być wydarzeniem chwili. Z natury rzeczy wprzągnięto mnie do współpracy, „Zdrój" drukował zczasem część mego „Koheletha", parę recenzyj i „Robaczki świętojańskie", które dziś figurują w „Mnichu opactwa lubińskiego" jako „Noc nadobrzańska".

Sprawy zapowiadały się różowo, nie uległy zmianie choć w lipcu 1917 r. wzięto mnie nareszcie do wojska i ogłodzono dotkliwie. Służba rekrucka była fatalna, ciężka, ostra, pod rozkazami kretyna Himmelstossa, piekarza, jakiegoś bawarskiego Krähwinkla. Brukiew w głodówce zdała się przysmakiem, niestety nie było jej tyle, by się można było najeść.

W smrodliwych sypialniach koszar, w oprzątaniu koni i egzercyrce otuchę można było czerpać w świadomości, że przecie ma się kontakt z kulturą polską, że będzie można pisać, być drukowanym, zarobić. Owszem, początki usprawiedliwiały te złudne nadzieje. Pan Hulewicz, redaktor „Zdroju" zakupił cały przekład „Koheletha" dokonany jeszcze w Krakowie, zapłacił gotówką, poważną na te czasy sumą 200 marek. Żal w tak miłych warunkach wyjeżdżać na front francuski. Miałem nadzieję politykować jako filolog celem otrzymania przydziału w etapie, rzecz była jednak przykra.

To też w pierwszych dniach września, dostawszy przed wyruszeniem w pole urlop z Monachjum do Kosowa w pow. gostyńskim, do moich rodziców, ucieszyłem się nadzwyczajnie, gdy zastałem tu list p. Hulewicza, zapraszający mnie do przybycia w odwiedziny do Kościanek, o ile czas pozwoli. Musi pozwolić! List był datowany z 6. VIII. 17: drugiego czy trzeciego dnia, nie pamiętam już dokładnie, wyruszyłem w drogę. Jechało się niewygodnie, przedziały przewoziły masę osób hamstrujących żywność, Gdziekolwiek się obrócić, utyskiwano na wojnę, na trudności aprowizacyjne, nic poza materjaliemem, doraźnym, zatroskanym, małodusznym materjalizmem nie rozjaśniało fatalnej atmosfery. Wspomnienie nastrojeń

ówczesnych, ten mrok, do którego nie przeniknął jeszcze ani jeden promień z tych blasków, któremi Wersal zalał świat w naszych oczach, przejmuje mnie grozą, ilekroć o nim pomyślę. Jak można było żyć jako żołnierz pruski, nie wiedzieć o niepodległości, nie być pewnym życia, głodować i znosić fizyczną, brudną nędzę, masowej rzeźni?

Kościanki olśniły mnie. Nie materjalną swoją stroną, — widziałem był, sporo dworów i dworków, zwłaszcza Kosowski, oddany od pół wieku ordynarnemu pachciarzowi Niemcowi. Kościanki przedstawiły mi się czemś niezwykłem w swym rodzaju. Tu skupiła się kultura polska, tu mówiono, co więcej myślano po polsku, tu była właściwa kuźnia pomysłów zdrojowych. Stąd szły promienie nowego prądu, ekspresjonizmu, na Poznańskie i całą Polskę. Tu była orjentacja prolegjonowa, przeciw-aktywistyczna. Stąd utrzymywano kontakt z Królestwem. Pamiętam wzruszenie swoje i drugich, gdy przychodziła poczta i przynosiła rękopisy Berenta, Wierzyńskiego, Wittlina i innych. Literatura była na ustach wszystkich. Pan domu tworzył i malował, pani domu tłómaczyła utwory yogów hinduskich, nieobecny p. Witold Hulewicz zdobywał właśnie ostrogi literackie.

Co więcej szczęśliwy los zdarzył, że właśnie w tym okresie przebywali w Kościankach pp. Przybyszewscy, z któremi tyle serdecznej przyjaźni łączyło mię nad Izarą. Jakżeż inaczej, weselej układają się tu rozmowy i nastroje! Nie było tu kłopotów o łyżkę strawy, które wtedy tak obojgu życie zatruwały. Byli tu weseli, rozbawieni — żarty na temat arcykapłana synagogi i twórcy satanizmu nie ustawały godzinami. Towarzystwo dyskutowało naprzemian, to słuchało muzyki Przybyszewskiego lub kompozytora Ludomira Różyckiego, który wraz z żoną gościł w tymże czasie w Kościankach. Przechadzki po cienistym parku, wizyta w atelier malarskiem, wyprawy w pola wypełniły resztę dwóch dni, które spędziłem w tej wiejskiej redakcji „Zdroju". Zdaje się, że z młodych współpracowników pisma zjawił się na parę godzin p. Jan Spychalski, którego poznałem był w Poznaniu.

Konieczność szybkiego wyjazdu i półtoraroczny pobyt we Francji nie pozwoliły mi zadzierżgnąć mimo wszystko dość silnych węzłów z samem wydawnictwem. Przez jakiś czas, dwa czy trzy albo cztery miesiące, wogóle numery pisma mnie nie dochodziły, budząc w sercu sporo goryczy. Tem niemniej na zawsze zostałem entuzjastą „Zdroju", śledziłem go, raczej pochłaniałem go i kształciłem się na nim, będąc odcięty od wszelkiej łączności z sprawami sztuki i literatury. Sprawiła to wizyta w Kościankach owego lata roku 1917, kiedy danem mi było poznać promotorów nowych idei, działających przez „Zdrój" na umysłowość współczesną. Wspaniałe charaktery i bogate ich umysły zapadły mi głęboko w sercu i pozwoliły z otuchą oczekiwać końca bezprzykładnej masakry świata. Dotąd chowam korespondencję Jerzego Hulewicza i Stanisława Przybyszewskiego, tyczącą tych chwil i książki, któremi właściciel Kościanek zasilił ubogi tornister pruskiego rekruta, a w sercu dobre słowa przyjacielskich rad i zachęty, które padły pod mym adresem.

Tyle w album „Wiciom" na pamiątkę mych pierwszych odwiedzin Wrześni — Kościanek.

Warszawa, grudzień 1932.

MARJAN TURWID:

U ŹRÓDEŁ

(ROZMOWA Z WYDAWCĄ)

Rozmowa ta zaczęła się już dawno. Wówczas jeszcze, kiedy gabinet wydawcy był wspaniały i wielki. Stałem we wnętrzu gabinetu onieśmielony i niezręczny i miąłem w rękach przyniesiony do druku pierwszy swój



artykuł. Zapomniałem dziś i tytuł i treść artykułu ale pamiętam doskonale dobre oczy i ciemną czupryne poważnego pana, który mi z rąk wyjął rękopis, przeczytał go pobieżnie i orzekł, że artykuł mój w dzienniku swym zamieści.

Taki był pierwszy krok. Zamiast kosza redakcyjnego, zamiast drwin, płytkich ocen i niedorzecznych (przeważnie) wyroków, słowem zamiast wczystkich tych przykrości nieodwołalnie czekających literackiego debiutanta, — spotkałem się z wyciągniętą życzliwie pomocną ręką i z uczciwem, zachęcającem spojrzeniem. —

— Minęły lata.

Wspaniały gabinet malał i skromniał. Przerzedziła się i posrebrzyła bujna czupryna jego gospodarza. — A rozmowa nasza trwała po przez te wszystkie lata — przerywana często — na długie nieraz miesiące.

Nawiązywaliśmy ją zawsze. To było tak łatwo. Przedmiotem naszej rozmowy był bowiem nieustannie jeden i ten sam temat.

Temat ten sam, jednak coraz inne, coraz poważniejsze do niego podejście, coraz szersze a jednocześnie coraz głębsze ujmowanie przedmiotu.

Nietylko temat lecz także ton naszej rozmowy był stale niezmienny, tak niezmienny jak obraz ujęty ramą jedynego okna gabinetu.

Zmalał gabinet, posiwiała redaktorska czupryna, ale tak samo, za oknem, podnosi się ciężko i zwaliście szeroka robrona wrzesińskiej fary. Tuż za oknem, jak od wieków, klęczy nieruchoma kamienna matka miasta. Na piersiach jej zawieszony ogromny drewniany krzyż. Z pnia najszerszego dębu z podwrzesińskich borów wyciosał potężnego Chrystusa mistrz Jakób Juszczyk. Zawieszono krucyfiks na piersiach fary, by z kolei na nim wieszać srebrne i złote wota niepoliczonych ludzkich spojrzeń. Wśród tych wot ileż zawisło naszych. Trzeba było nieraz przerywać najciekawszą choćby rozmowę, by przedrzeć się wzrokiem przez złotozieloną zasłonę lipowych liści i kwiecia wieńczącą stary kościół i, by z zachwytem podpatrywać słońce przemieniające stare, nieforemne, zwietrzałe cegły w mozajkę z najdroższych kamieni...

— „Czemu? — stawiałem wówczas pytanie — „czemu" ten kościół ciężki, niezgrabny, przez bylejakich murarzy stawiany — jest mi tak samo wspaniały i najpiękniejszy na świecie jak cudowna, wytworns i smukła krakowska Panna Marja?"

— „Czemu? — Bo to jest pierwszy kościół, jaki pan zobaczył w życiu. Kościół rodziców pańskich i dziadów."

„Ale przecież tak dobrze wiemy, jaka jest ogromna różnica między wartościami architektonicznemi „Panny Marji" na przykład a naszej fary, — a mimo to..."

„Zawiedzie pana, tak często zawiedzie chłodna, ścisła miara dokładnie wyliczonych wartości — tu trzeba innej..."

„Jakiej?"

— Zaczęła się pierwsza lekcja regjonalistyki. Tak się to wówczas nie nazywało jeszcze, ale — nie idzie przecież o taką czy inną nomenklaturę. Nam szło o treść, a tę wykazał mi mój rozmówca znakomicie. Nie potrzebowałem później, gdym wśród wspaniałych szczytów górskich myślał o pięknie równych, szarych pól stawiać sobie pytania: czemu?

Odtąd odpowiedź miałem gotową.

Starałem się ją sformułować, ująć w słowa, napisać.

Brał te niezdarne próby mój wydawca z tym samym zawsze życzliwym uśmiechem i drukował. Brał odemnie, zaczął brać od innych. Płynęły artykuły i płynęły. Ubogie, niezgrabne i słabe. Nie zrażało go to jednak wcale. Miał swoją odrębną, własną metodę.

Taką:

— Wpadłem kiedyś do redakcji poirytowany. Wskazuję świeżo wydrukowany czyjś artykuł i mówię z wyrzutem:

— „Ten artykuł jest przecież okropny!"

— „A tak, jest słaby."

— „Jak mógł pan to drukować?"

Uśmiechnął się mój rozmówca.

— „A przypomina pan sobie swoje pierwsze kroki?"

Zamilkłem — a w kilka lat później musiałem przyznać:

Metoda pańska okazała się dobrą.

„A tak — nasi ludzie nie mają łatwości wyrażania się. Prawie z reguły zaczynają bardzo słabo. Nawet Kasprowicz a jąkał się. I jeszcze jedno: są z natury skromni i łatwo ich onieśmielić. Więc gdy się ich pierwszą próbę odrzuci, ba — ośmieszy, wówczas tak łatwo tracą wiarę w swe możliwości, tak łatwo zniechęcają się i milkną na zawsze — może nieraz z niepowetowaną szkodą.

Więc trzeba stwarzać tereny,gdzieby młode talenty mogły się wypowiedzieć, po swojemu wypowiedzieć. I gdzieby ich skromnej, cichej nuty nie zagłuszyły dźwięki innych braci, tych łatwiej i potoczyściej się wyrażających..."

Tak mówił i w swoim skromnym zakresie robił co mógł. Zachęcał i drukował, drukował i zachęcał.

Cierpliwy nauczyciel — doczekał się zwolna rezultatów. Gromadkę młokosów nauczył pisać. Trzeba było widzieć go, jak się cichaczem, w głębi swego gabineciku i swego zacnego serca radował z każdego sukcesu swojej „szkoły", jaki był dumny ze „swoich", jak ich pamiętał i wyliczał.

A ci „jego" rozchodzili się, rozjeżdżali, na miesiące, na lata, ale wracali, jeśli już nie sami to artykułem, wierszem, listem...

Niektórzy, przesuwali się po przez przeróżne wielkie i znane gabinety redaktorów i wydawców, po przez pałace prasy i ogromne warsztaty wydawnicze — ale nieomal wszyscy pozostali wierni małej, wrzesińskiej redakcji.

Ta wierność sprawiła, że się w któryś wieczór, po całodziennym trudzie, siwiejący pan o zacnych oczach rozmarzył na dobre.

Nie zdziwiło mnie to wcale, nieraz marzyliśmy razem, zresztą doskonale wiedzieliśmy obaj o tem, że tam gdzie u początku drogi niema marzeń — tam u celu nie będzie wielkich rezultatów.

Jednak — marzenie tego pamiętnego wieczoru przerastało o szczyt cały wszystkie nasze rojenia.

Oświadczył mi mój rozmówca:

„Teraz już czas, abyśmy zaczęli wielką robotę..."

„Jaką?"

„...Widzi pan — już nazbyt długo, my wielkopolanie wleczemy się w ogonie innych, musimy już nareszcie znaleźć własny wyraz dla naszych odrębnych zainteresowań, musimy wnieść nasze własne wartości do skarbca narodowej kultury, musimy stworzyć taką atmosferę nad naszemi polami, aby w jej cieple tak dawno wypoczywająca rola zaczęła wydawać plony..."

„— Musimy! — ale jak to zrobić?"

„— Będę wydawał pismo, a pan będzie redaktorem!"

„— Czy aby damy radę ogromnemu zadaniu? Jest nas niewielu i jesteśmy jeszcze słabi..."

„— Jesteście młodzi i pismo będzie rosnąć razem z wami. A jeśli padniecie — — to nie będzie taki upadek klęską. Zaczynali i padali już inni — — wystarczy wspomnieć „Zdrój"..."

„— A właśnie — taki „Zdroj" a padł!"

„— ...Bo nie wytrysł z macierzystego terenu. Bo był narzucony, przywieziony z zewnątrz — i być może za mało było w tej robocie — serca. Zatem — zgadza się pan?"

„— Tak!"

I zaczęła się robota. Zaroiło się w małym, ciasnym gabinecie. Zjechali się: Szczebrzyc, Szyperski, Tałuna, Deresiewicz i drudzy. Zaczęli radzić, szperać, pisać. A zaczęli w sam czas. Właśnie rzucono Wielkopolsce w twarz najgorsze obelgi, pierwszy lepszy pismak pozwalał sobie na drwiny i urągania pewny bezkarności. Liczba przybyszów sprawiedliwych była przecież tak niewielka. Ale na szczęście myśmy nareszcie dojrzeli do pracy. Skrzyknęliśmy się i zewsząd, ze wszystkich nieomal zakątków regjonu zjechali się do nas towarzysze pracy.

„Już by nas wszystkich ten gabinet nie pomieścił" — oświadczyłem, gdym po pierwszym zgórą roku pracy zasiadł w nim, by nawiązać przerwaną rozmowę."

„A pocóż ma nas mieścić? Czyż największe nawet rzeki u swych źródeł nie są wąskiemi strumykami?"

— „Kiedyż my będziemy wielką rzeką?"

„To zależy od tego, czy źródło będzie wciąż czynne."

...Sędziwa wrzesińska fara uśmiechnęła się do nas serdecznie cała w słońcu. Przez chwilę odpowiadaliśmy jej spojrzeniem jesnem i ciepłem a potem — siedliśmy bliżej siebie i poczęliśmy opracowywać plan pracy redakcyjnej na najbliższe lata. —

ZOFJA BEILMANNÓWNA:

STOI JABŁOŃ NA EGIPCIE

Lekarz i dentysta mało mają pracy w niektórych naszych wsiach, zwłaszcza takich, które są bardziej oddalone od miasta. Jeśli kogo ząb boli, a balbierza nie ma we wsi, to i kowal umie wyrwać. Zwichniętą rękę lub nogę naciągnie stary skotarz, a w razie potrzeby nazbiera on też na polu ziół na najróżniejsze choroby. Każdy skotarz zna się bowiem doskonale na ziołach leczniczych. Prócz tego jest prawie w każdej wsi ktoś, kto umie zażegnać różne choroby. Formułki i zaklęcia, które mają niewątpliwie wielką siłę uzdrawiającą — tak twierdzą naoczni świadkowie — owiane są tajemniczością. Nie można ich głośno wymawiać, gdyż zaraz tracą swą moc. Ojciec przekazuje je zwykle najstarszej córce, ta później swemu synowi i t. d. Można zażegnywania nauczyć także obcych, jeśli mają do tego zamiłowanie, ale tylko osoby innej płci. (A zatem ode mnie mogą się nauczyć tylko panowie.)

Jeśli choroba jest tak skomplikowana, że zwykłe zaklęcia nie pomogą, wtedy zanosi się pacjenta do „mądrej" albo „mądrego" — czasem nawet daleko, do samego prawie Poznania. Zawsze taki „mądry"

więcej wie, niż doktor, który całą wiedzę swoją czerpie z książek. — Doktor zapisze tylko lekarstwo, niezawsze nazwie chorobę albo nazwie ją tak, że się niczego nie rozumie, a już nigdy nie powie, gdzie, kiedy i jak choroba powstała. Co innego mądry. Ten zaraz wszystko wie:

„A pamiętacie to, Kumo, jakeście szli do kościoła? A przystąpiła do was jedna kobieta i podała wam rękę — pamiętacie? To ona w tej chwili zadała wam chorobę. Już dawno zastawiała na was sidła. Ile razy przechodziliście koło jej okien, zawsze rzucała na was urok, ale nie mogła trafić. Raz padł urok na kamień przy drodze, raz na młode drzewko, które zaraz uschło."

I cała tajemnica już jest wyjaśniona. Zaraz przypomina się wszystko dokładnie i wiadomo, komu się zawdzięcza chorobę. Gdy kogoś bardzo głowa boli, to lekarz nazwałby to może „migreną" albo „newralgją lub jeszcze inaczej i dziwaczniej. Mądry powie poprostu: „Mózg gnije" albo „głowa się rozłazi". (W ostatnim wypadku trzeba głowę mocno rzemieniami ściągać, aby się nie rozlazła zupełnie, gdyż to spowodowałoby śmierć.)

Wróćmy do owych formułek i zaklęć. Są takie choroby, których w żaden inny sposób wyleczyć nie można, n. p. róża. Żegna się ją w ten sposób:

Najpierw trzeba na zaognione miejsce trzy razy na krzyż dmuchnąć, potem wymawia się szeptem 3 razy te słowa:

Stoi jabłoń na Egipcie,
Na tej jabłoni gałąź,
Jak ta gałąź spadnie,
To się róża przepadnie.

Następnie odmawia się 3 Zdrowaś Marja, opuszczając za każdym razem „amen", poczem trzeba jeszcze 3 razy przeżegnać.

Jeśli kto ma „uraz" czyli rankę na oku, żegna się ją 3 razy sierpem, mówiąc:

Sierpiku, sierpiku, zżynałeś oziminy
I z pola wszelkie rośliny,
Spędź z tego oka urazinę.

Potem odmawia się jak wyżej 3 Zdrowaś Marja bez „amen".

Bardzo bolesny jest „postrzał". Polega on na tem, że kawałek kości się odłamuje, wędruje przez ciała, przebija skórę i wreszcie wychodzi. Leczy się go takiem zaklęciem:

Skąd idziesz postrzale?
Z postrzałami, mój panie.
Przy pomocy Boskiej Matki Najświętszej
Idź precz na bory, na rozstajne drogi,
Tam łam, tam druzgaj,
A Wandzie chrzconej (imię pacjenta)
nie przeszkadzaj.

Na zakończenie odmawia się 3 Zdrowaś Marja i żegna się trzy razy — zawsze bez „amen".

Wszystkie prawie formułki wzywają pomocy Matki Boskiej albo innych świętych. Św. Urban leczy „dziegienkę", t. j. wyrzut na języku u małych dzieci. Dmucha się 3 razy i mówi:

Swięty Urbanie,
Weź tę dziegienkę, mój panie.
(3 Zdrowaś.)

Istnieją też zażegnania niemieckie, stosowane czasem przez osoby, nie znające wogóle tego języka. Dlatego też niektóre zostały tak poprzekręcane, że nie mają już żadnego sensu, n. p. przeciw róży:

Rose, Rose, fahre raus,
Diese Gottes fahre raus.

Inna niemiecka formułka używana jest przy leczeniu bydła na „ochwat". (Gdy krowa się tak obje lub opije, że nie może wstać.)

Christus hat auf dem Kreuz gehangen.
Das bunte (albo schwarze itd.) Vieh hat
sich verfangen.
Christus ist vom Kreuze los,
Das Tier will das Verfangene los sein.

Odmawia się to 3 razy, a potem 3 Zdrowaś. Przytem składa się rogi fartucha nakrzyż i temi rogami pociera się grzbiet krowy od głowy do ogona, od ogona do głowy i jeszcze raz od głowy do ogona. Potem krowa zaraz wstaje i jest zdrowa.

Żółtaczkę leczy się bez zażegnania, chory musi jeść wszy, wgniecione w chleb. Jest jeszcze inny sposób mniej przykry, ale i mniej pewny: gorącą smołę rozlewa się na talerz, a chory musi się w niej przeglądać.

Często i skutecznie stosuje się w lecznictwie ludowem różne zioła. — Niezawodnym środkiem przeciw wszystkim chorobom, pochodzącym z oczarowań, są kąpiele w „czarciem żebrze" (scabiosa succisa — driakiew), a szakłakowe kije (rhamnus carthartico), noszone przy sobie, chronią przed czarami.

Można się też bez pomocy „mądrych" przekonać, kto spowodował chorobę, rzucając zły urok. Zabija się czarną kurę, ucina się jej głowę i w tę głowę wbija się tyle szpilek, ile się wmieści. Naszpilkowaną głowę wkłada się do garnka z wodą. Trzeba teraz wodę 3 razy przeżegnać, garnek nakryć pokrywką, oblepić tę pokrywkę szczelnie gliną i przycisnąć cegłą. Skoro woda zacznie się gotować, a para nie będzie mogła żadną drogą się ulotnić, wtedy owa „ciota", która spowodowała chorobę, poczuje w sobie straszne boleści, przybiegnie i sama się w ten sposób zdradzi.

Oto kilka tajemnic, wyłudzonych północno-zachodniej Wielkopolsce. Jest ich tam napewno bardzo dużo, lecz trudno do nich dotrzeć. Znałam pewną staruszkę, która rzeczywiście leczyła żegnaniem różę i różne choroby oczne, nie nauczyła jednak nikogo tej sztuki. Wolała swą tajemnicę zabrać do grobu, niż zdradzić ją komu niegodnemu.

WIELKOPOLSKA w HOŁDZIE WYSPIAŃSKIEMU

Tak, jak na obszerny tom złożyły się tytuły wszystkich opracowań, artykułów, feljetonów i przyczynków, tyczących się Stan. Wyspiańskiego, a ogłoszonych w całej Polsce w związku z 25. rocznicą zgonu Jego, tak również na niemniejszy tom złożyłby się opis poszcz. uroczystości rocznicowych w różnych ośrodkach ziem zachodnich. Mimo szerokiego tytułu niniejszego artykułu sprawozdawczego, zdamy sprawę z kilku obchodów w większych ośrodkach z Poznaniem na czele i w mniejszych, a tych kilka informacyj pozwoli czytelnikowi urobić sobie zdanie o całości obchodów w Wielkopolsce i o kulcie tejże dla poromantycznego wieszcza współczesnej Polski.

Siłą rzeczy, ośrodkiem wszystkich obchodów było Akropolis polskie, Kraków z Wawelem. I Poznań nie pozostał przecież w tyle. Pisma miejscowe zredagowały specjalne wydania; a więc Dziennik Poznański z artykułami Stanisława Przybyszewskiego (z teki pośmiertnej), P. Mączewskiego, J. Kollera, Eckhardtówny, H. Majkowskiego i innych; Kurjer Poznański z artykułami Z. Wasilewskiego, A. Grzymały-Siedleckiego, K. Maszkowskiego, H Opieńskiego, Cz. Kędzierskiego, Z. Grota, Stan. Wasylewskiego i innych. Dodać przytem należy, że prasa miejscowa, obfitemi informacjami przygotowała grunt do żywiołowych uroczystości, a po obchodzie przez dłuższy czas przynosiła coraz nowsze przyczynki i uzupełnienia.

Teatry nie dały się ubiec prasie. Reprezentacyjny Teatr Polski, najzupełniej reprezentacyjnie wystawił Akropolis ze wspaniałą wprost wystawą techniczną. Takiej inscenizacji, jak inscenizacja Akropolisu, Poznań z pewnością nie widział jeszcze w teatrze. W tym samym dniu Teatr Polski wydał już drugą w tym roku jednodniówkę: Wiadomości Teatralne, poświęconą Wyspiańskiemu; Teatr Nowy wystawił fragmentarycznego „Zygmunta Augusta", znowu w starannem przygotowaniu.

W godzinach popołudniowych dnia 27-go listopada ub roku odbyła się Akademja w obszernej Auli Uniwersyt, która nie mogła pomieścić tego tłumu uczestników, jakiego Poznań dawno na podobnych obchodach nie widział. Akademję transmitowano przez radjo.

W Muzeum Wlkp., toż właśnie muzeum i Koło poznańsko - pomorskie Związku bibljotekarzy polskich, urządziło wystawę „książki Stanisława Wyspiańskiego", która pozwoliła ogółowi zapoznać się z zasługami Wyspiańskiego dla zdobnictwa książki Wystawę tę uzupełnia wystawa obrazów Wysp. ze zbiorów wielkopolskich. Tu należy dodać, że w związku z wystawą na odwrocie jednego z obrazów przedstawiającego „Dziewczynkę", a należącego do p. Z. Żychlińskiej, odkryto nieznany dotąd autoportret Wyspiańskiego.

Już po tych wszystkich uroczystościach wygłosił w Poznaniu odczyt Adam Grzymała-Siedlecki, osobisty przyjaciel poety z czasów „węgrzeckich".

— — — — — — — — — — — —

Bydgoszcz już 23. listop. uczciła pamięć poety uroczystym Wieczorem Związku Plastyków Pomorskich. Następnie w dniu 27. w Teatrze Miejskim przemawiali do tłumnie zebranej publiczności: ks. Bronisław Müller (Wyspiański - Dramaturg) i prof. Marjan Turwid (Wyspiański-Plastyk) Art. dram. p. H. Tomaszewska wypowiedziała „Prolog" do „Bolesława Śmiałego" a znakomicie zapowiadająca się recytatorka p. Zofja Nowicka ilustrowała słowami poety wykład ks. Müllera. Artyści Teatru Miejsk z niezwykłem pietyzmem wystąpili w „Weselu" i w „Warszawiance". W „Weselu"

dyr. Stoma stworzył kapitalną postać Czepca (bodaj czy nie najświetniejszy czepiec w Polsce) a dekorator teatru Krassowski dał takie ramy sceniczne, że Komisja Min. W. R. i O. P. przyznała mu za nie pierwsze zaszczytne wyróżnienie. Nadmienić jeszcze wypada, że Teatr M. zainscenizował po raz pierwszy w Polsce „Batorego pod Pskowem". Prasa miejscowa także stanęła na wysokości zadania: „Dz. Bydg." opublikował świetny artykuł dr. Jana Piechockiego, a „Gazeta Bydgoska" wnikliwą rozprawę ks. Br. Müllera.

W Środzie obchód ku czci Wyspiańskiego odbył się staraniem Stow. Urzędników Państw. i Komunalnych ze współudziałem Gimnazjum Państw. Referat wygłosił znawca twórczości Wyspiańskiego, docent U. P. dr. St. Kolbuszewski; recytował fragmenty z dramatów art. dram. J. Gritzman. Chór urzędników poważnemi a dobrze zastosowanemi pieśniami uzupełnił program.

Września uczciła pamięć wielkiego artysty akademją zorganizowaną starannie przez T-wo Przyjaciół Kultury i Sztuki (z wykładem Prof. U P. Dr. R. Pollaka) oraz specjalnym numerem Orędownika Wrzesińskiego z artykułem prof. W. Fabiana i M. Turwida. (j. der.)

KRONIKA

Dr. Wanda Brzeska w artykule pt. **Elegje Wielkopolskie (Dziennik Poznański)** zamieszcza na marginesie recenzji z II-giego Tomu Bibljoteki Wici Wielkop. szereg uwag niezwykle trafnie ujmujących nowy budzący się dopiero do życia wielkopolski ruch literacki Cytujemy: „...wiemy, że od wielu lat umieliśmy odwalać nasze dni powszednie", że umieliśmy wieźć statecznie pługi nasze robocze przez dni nasze powszednie i... tak „od poniedziałku aż po kres soboty". — A niedziele? Te za nas Abderytów świętowali inni śmiejąc się do słońca i... z nas!

Tylko, że może teraz nadeszły dni **Wielkiej Doliny!** ...Pod szarem kłębowiskiem chmur budzi się w Wielkopolsce poezja, ażeby rozpocząć własną swoją, historyczną godzinę.

Coprawda i teraz jeszcze pisze się o nas, że nie jesteśmy predestynowani do tego, żeby wnieść do ogólnej skarbnicy narodu elementy literacko-artystyczne, że „aliterackość" nasza jest rzeczą pewną i przypieczętowaną... Któż to wie? Rola, która czas jakiś wypoczęła, wydać potrafi znagła plon obfity — jeśli znajdzie się siewca ze zdrowem, dobrem ziarnem. Z chwilą restytucji Państwa Polskiego ruch wydawniczy w Poznańskiem wzmógł się ogromnie, a w Poznaniu procentualnie drukowało się chyba najwięcej wierszy. Narazie korzystali z tego rozmachu pełnego bezinteresownego gestu przedewszystkiem bracia z innych regjonów, przecież to w Poznaniu u Kuglina wyszły grube tomiska Zegadłowicza, Poznań ma swoją Bibljotekę Studwudziestu — obecnie zarówno u Kuglina, jak i u Dippla wysypują się różnorodne rymotwórstwa.

Garną się do nas, do Abdery poeci, przysyłają rękopisy, drukują.

A za tą pierwszą nawałą, która przesunęła się już i odpłynęła częściowo, może z groźnym nawet pomrukiem obecnie napływa fala druga, tym razem już nie z dalekich Beskidów i od stóp Wawelu czy z pod Warszawy, ale z rodzimej naszej krainy, z Wielkich Dolin...

W artykule p. t. **„Rok orki na glebie regjonalnej"** daje **Alfred Jesionowski (Kurjer Poznański „Dział Kult. i Sztuki")** obszerny przegląd wyników dotychczasowej pracy „Wici Wielkop." czytamy:

...Dorobek „Wici" jest więc wcale pokaźny, świadczy o twórczości rzetelnej, planowej i świadomej. Ten szlachetny upór redakcji, to postanowienie wytrwania mimo wszystko — łamie lody, przyciąga współpracowników, ożywionych gorącem pragnieniem, aby rozbudzać i krzewić kulturę regjonalną a przez nią bogacić kulturę ogólnopolską...

— Poznańskie Tow. Numizmatyczne zorganizowało w Muzeum Narodowem w Pradze wystawę współczesnych medali i plakiet polskich.

— Poznańskie Tow. Przyjaciół Nauk dokonało otwarcia Galerji Malarstwa Polskiego, którą w najbliższym czasie zajmiemy się osobno.

— Jako dwunasty tom „Badań z dziejów społecznych i gospodarczych" wychodzących we Lwowie ukazała się książka prof. Fr. Bujaka — **„Wielkopolski krajobraz i jego zmiany dziejowe"**.

— Ks. Zdz. Zakrzewski ogłosił pracę: „Z dziejów Wolsztyna i jego okolicy."

— **Redakcja Dziennika Poznańskiego** wszczęła zajmującą polemikę na temat: regjonalizmu, zapewniwszy sobie głosy: Alfonsa Szyperskiego, Gustawa Morcinka, Dr. Stan. Kolbuszewskiego i Dr. Troczyńskiego.

— **„Dział Kultury i Sztuki"** Kurjera Poznańsk. rozpoczął dziewiąty rok swego tak pożytecznego i dobrze kulturze naszej zasłużonego istnienia.

— Ks. prof. Szczęsny Detloff ogłasza w **„Wiadomościach dla Duchowieństwa"** świetne artykuły poświęcone palącej potrzebie pielęgnowania i wprowadzania dzieł sztuki do kościołów i tępienia barbarzyństwa i pseudoartystyczn. tandety zastraszająco panoszącej się w naszych kościołach.

— W numerze 221 „Lecha" pisze Wiktor Fabian o „Gnieźnie w poezji Stanisława Helsztyńskiego".

— Nakładem Państwow. Wydawnictwa Książek Szkolnych we Lwowie ukazała się praca dr. Stefana Papée pt. „Wielkopolska Wczoraj i dziś".

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Ziemia Leszczyńska

Czasopismo krajoznawcze. Nakładem księgarni St. Chmary 1932 w Lesznie.

Nareszcie doczekaliśmy się czasopisma tak niezbędnego na naszym terenie zarówno ze względu na bujną przeszłość tego kącika Polski, jak i ze względu na to, co Niemcy w tym kierunku za nas, ale i stronniczo, zrobili. Narazie wyszły dopiero dwa numery, więc trudno wyrobić sobie dokładny sąd o wartości tego wydawnictwa, ale już to, co mamy dotychczas, przedstawia się wcale dodatnio. W pierwszym numerze, wysuwa się na pierwszy plan ciekawy artykuł redaktora „Ziemi lescz." p. Machnikowskiego o młodzieży gimnazjum leszczyńskiego w pamiętnym roku 1830/31. Numer drugi, ciekawszy i lepiej zredagowany od pierwszego, posiada kilka interesujących prac, z których artykuł dr. Adama Tomaszewskiego „Mowa ludu polskiego w powiecie leszczyńskim" zasługuje na szczególniejszą uwagę. Młodemu i pożytecznemu wydawnictwu, jak i jego inicjatorom należy się pełne uznanie i słowa zachęty do dalszej, owocnej pracy.

Juljan Szpunar.

Józef Grycz:

Zamek Kórnicki i jego zbiory

Nakładem Bibljoteki Kórnickiej 1929 str. 25 + 3 nlb. + 9 widoków.

Zwięzły i ładnie napisany przewodnik po bogatych zbiorach kórnickich. Autor rozpoczyna swój przewodnik od historji miasta i zamku Kórnika, opisując przy tej sposobności ciekawsze okazy sztuki, znajdujące się w poszczególnych salach. Osobno omawia następnie autor Muzeum mieszczące wykopaliska przedhistoryczne, ogromny zbiór zbroi i broni, pamiątki królewskie i sławnych osobistości, okazy dawnego polskiego przemysłu i obrazy. Następnie omawia P. Grycz Bibljotekę zawierającą około 70.000 tomów, w tem inkunabuły, stare druki, dyplomy pergaminowe, rękopisy bezcennej wartości. Osobny dział Muzeum — to zbiory australijskie, przywiezione przez Władysława Zamoyskiego z podróży po świecie. Przewodnik wydany jest starannie i spełnia swój cel informatora zwiedzających zupełnie zadowalająco.

Jan Sztaudynger:

Ballady Poznańskie

Bibljoteki Studwudziestu Liber Septimus Poznań MDMXXX. Rolnicza Drukarnia i Księgarnia Nakładowa pod zarządem Jana Kuglina. Bez numeracji stronnictw.

Tomik wierszy poznańskich poświęconych K. H. Rostworowskiemu powstał w ciągu trzech dni (14—16 grudnia) Impresje z Poznania Sztaudyngera charakteryzuje najlepiej „jego własny wiersz".

„Wiersz mój jest prosty i mocny,
Jak róże wsadzone na osty.
Wypełnia rączo mą wolę:
Pachnie i kole.
Ludziom woń wzdyma chrapy
(To jest robota róży)
A kolec kłuje w łapy
(Gdy palec kto chce zanurzyć).
Nie widzę w nikiem brata,
Kto pełza po ziemi — nie lata,
I demokracja mi zbrzydła,
Chyba, że... daje skrzydła.

Wiersze tryskające radością i beztroską chwili, upajanie się rozkoszą tworzenia — i poprzez pozorną zarozumiałość poety — szczera i ujmująca skromność. Chciałoby się pół tomika cytować. Wśród wierszy o charakterze niafrasobliwym — nuta patrjotyczna, (Pewuka):

Spełniła się nade mną
Miłosna opieka Boża,
Ujrzały oczy moje:
Polskę od morza do morza.

Poznań pokazał poecie co pięknego posiada, poeta umiał pięknie ocenić gościnę i dary, umiał nawiązać bezpośredni stosunek pomiędzy sobą a czytelnikiem prostotą i szczerością ujmowania swych wrażeń. **Alfred Jesionowski.**

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. — W Krakowie: Księgarnia D. E. Friedlein. — W Gdyni: M. Niemierkiewicz.
Redakcja: Poznań Osiedle Warszawskie Słupecka 7. Przedstawiciel redakcji przyjmuje w poniedziałki i czwartki od g. 4—5 (Wały Leszczyńskiego 6 N. D. A.)
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.